

The book cover features a vibrant, abstract illustration. In the foreground, a woman's face is depicted with a large, expressive eye and a wide, open mouth, set against a background of black and white diagonal stripes. Above her, a man's face is shown wearing dark sunglasses. The background is a mix of purple, pink, and red tones, with some areas appearing as if painted with thick brushstrokes. The overall style is graphic and expressive.

Mariusz Cieślik



śmieszni kochankowie

Cieślik
ma zmysł
paradoksu
i słuch
na cudzą
mowę.

Jan Zieliński

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).

M a r i u s z C i e ś l i k

śmieszni kochankowie

Pomyłka

Ty kurwiarzu, dziwkarzu pierdolony. Kto mówi – pytam – kto mówi, a słuchawka swoje. Niech ci odpadnie, dewiancie jeden. Czego chcesz, człowieku – krzyczę. A tamten dalej swoje. Myślisz, że nikt się nie dowie? Ale o czym – drę się jak opętany. Zobaczysz, mendo, tak ci dogryze, że na ulice się bedziesz bał wyjść. Wyłączę telefon, jak nie powiesz, o co ci chodzi – wrzeszczę, aż mi głosu brakuje. Ty już dobrze wiesz, o co, i ja wiem, no to wszyscy się dowiedzo. No to ci miłego dnia życze. Jak mnie znajdziesz, to pogadamy, a jak nie, zadzwonie na komórkę. Czekał, powiedz, kim jesteś. Powinieneś wiedzieć, złamasie. Poszukaj mnie, to na pewno znajdziesz. I brzdęk, odłożył słuchawkę.

I dopiero wtedy się obudziłem. Przypomniałem sobie ten tunel z gałęzi, w który wchodziłem wczoraj wieczorem, te korony sosen poprzątkane słońcem. Zawsze miałem ochotę zapisywać sny, w snach są najpiękniejsze obrazy, które do tego

za każdym winkle zakręcają. Najbardziej lubię ten las sprzed mojego dawnego domu. Wolałbym tam ryjem rozgarniać ściółkę jak dzik niż tutaj być poważną personą. Tylko co z tego. Przecież z tym lasem jest dokładnie tak jak z babami, z taką jedną blondynką na przykład, do której nie potrafiłem wystartować. Czyli zupełnie bez sensu. Ale ona miała cycki. A tam to musiała być ruda. Niektóre tak mają. Wyglądała, jakby ją toczyli na garncarskim kole – ale tak po mistrzowsku, albo na tokarce. Bo przecież nie na frezarce. Jak Boga Kocham, co ja z tą frezarką. Ależ to była dupa. A może, może miała tam wygolone. Jedną taką znałem, co sobie goliła. I jeszcze się opalała w solarium i była na równo wszędzie brązowa. Tylko jak się zajrzało do środka, to była różowa. Och, ale ona tam miała różowutki. Jak świeży łosoś. No nie, przecież nie śmierdziała rybą, tylko tak mi się skojarzyło. Wszędzie miała ochotę – na plaży, w pociągu, na imprezach. Jak do niej przychodziłem, to wkładała długą spódnicę i zdejmowała majtki. Nie mogłem spokojnie na to patrzeć, od razu miałem wzwód. I siadała mi ta suka na kolanach, rozpiniała rozporek i wsuwała sobie. Wtedy to ja mogłem przez godzinę, ale tam na tym fotelu to czasem po minucie nie wytrzymałem, a ona się krzywiła i szła umyć. W drugim zaś pokoju siedzieli jej starzy i siostra i oglądali telewizję. Potem wracała, ja szedłem się umyć i znowu siada-

ła mi na kolanach, i tak mogła z pięć razy. Boże, co za bestia. Kiedyś poszliśmy razem do łazienki. Ja chciałem tylko umyć ręce, a ona niby to prała i była tylko w takiej długiej bluzce, co jej ledwo majtki zakrywała. I jak się odwróciłem, to zobaczyłem, jak się wypina, i nie wytrzymałem. Na to ona do mnie, że chyba zwariowałem, bo matka tylko do warzywniaka poszła po kiszzone ogórki i w ogóle to mógłbym się umyć i zdjąć jej majtki, ale już było za późno. Ona pochylona nad tym praniem w wannie, a ja już w środku. I jeszcze taka była perwersyjna, że udawała, że pierze. Myślałem, że oszaleję. I wtedy ktoś zaszurał pod drzwiami. No i to oczywiście była jej matka, ale zdążyłem. Wszystko zdążyłem. Albo kiedyś w pociągu. W biały dzień. Było tak gorąco, że można się było zerzygać. Ona rozsuwa nogi i wachluje się pod sukienką, no to ja już nie mogę. Siedzimy w przedziale sami, a właściwie to leżymy. W pociągu pusto, ale chodzą różni konduktorzy i tego typu swołocz. I nie wytrzymałem. Wstałem i poszedłem się ochłodzić do umywalki. Wiedziałem, że przyjdzie, chociaż nic nie mówiłem. I przyszła. A tam było może metr na metr. Opierałem się tyłkiem o drzwi. Myślałem, że się za chwilę ktoś zacznie dobijać, ale nie, na szczęście.

Ale ja i tak wolę brunetki. Tylko nie mam w życiu do nich szczęścia. Ze dwie poznałem bliżej. Jedna mnie zostawiła, a z drugą nie mogłem

wytrzymać, bo była jakaś pokręcona. I nie wytrzymałem. Ale tak w ogóle to zawsze chciałem mieć kurwę. To znaczy, przepraszam, prostytutkę. Taką z klasą. Strasznie mi się podobało, jak w dziewiętnastym wieku w wiktoriańskiej Anglii, gdzie kobiety nie mogły łydki pokazać, goście chodzili minimum raz w tygodniu do burdelu. Tak dla higieny, bo przecież z żoną nie wypada po francusku. Oni zresztą nie lubią Francuzów, to może robią po swojemu, bo zawsze się uważali za pępek świata. Stolica imperium, nad którym słońce nie zachodzi, i temu podobne bzdury. No, ale z tymi burdelami to nie najgorzej wymyślili. U nas to się człowiek boi, że okradną, pobiją albo jeszcze gorzej. W najlepszym wypadku jakiś syf, o adidasie nawet nie wspomnę, bo o takich rzeczach lepiej nie mówić. No i dlatego nigdy nie zamówiłem kurwy do domu ani nie poszedłem do agencji. Chociaż jeden mój koleś, strasznie poważny dyrektor, dymał kiedyś jedną w pokoju swojego dziecka, jak żona wyjechała. Inny kumpel mi to opowiedział, który drugą obrabiał w jego sypialni. Kolo chciał być dżentelmenem i lepszą miejscówkę mu udostępnił. Swoją drogą, ten, co tą agencję towarzyską wymyślił, powinien copyright założyć i zarobiłby niezłą kasę. Tylko ciekawe, kto by mu patentu pilnował, jak to wszystko kontroluje mafia. Mafia nie mafia, w każdym razie chłopcy z miasta, którzy raczej wolą pobierać

kaszkę. No i nigdy w końcu nie przeleciałem żadnej kurwy, bo mam zahamowania. A strasznie bym chciał jakąś czarną albo żółtą najlepiej. Z brunetkami też mi się nie udaje. Żonę mam blondynkę. Zamiast w lesie mieszkam w bloku, w zasranym M-3. O, Chryste, ten skurwysyn pewnie wie o mojej żonie. No, teraz to się już, kurwa, naprawdę obudzilem. I wcale mi się to nie śniło, bo słuchawkę trzymam w ręku. Czego on chce? Tak, to na pewno o to chodzi: wie o tej pannie z klubu. Ale ja przecież jestem niewinny jak lelija. Nawet się z nią nie całowałem. Może chce szantażować? No, w tym klubie to nie wyglądało pewnie tak niewinnie, jak było. Wszyscy na bani, zabawa na całego. Jak cyknał zdjęcie, to mam przejebane. Tylko że niby kiedy? Twoja przytępiona kacem świadomość powinna ci, ćwoku, podpowiedzieć, że kiedykolwiek, jak już byłeś pijany, czyli ładnych parę godzin. Kto tam jeszcze był? No tak, tłum nieziemski, najpopularniejsza knajpa małolatów z warszawki i pedałów. Tylko że ten, co dzwonił, zarzucał akcentem z drugiej strony rzeki. Tacy tam nie chodzą. Albo tylko udawał. Zresztą, cholera wie. Każdy może wejść do knajpy. Ale skąd on ma numer tak poza tym? Co mnie napadło, żeby się szwendać po knajpach. To wszystko z nudów. Siedzi człowiek na tym pieprzonym Ursynowie. W robocie zajob, to naturalną rzeczą koleją – jak mówi poeta – najlepiej się

nawalić. Samemu w domu siedzieć żadna radocha. Cholera, może jednak było coś z tą panną, tylko nie pamiętam. No nie, takie rzeczy to się jednak pamięta. Poza tym nie byłem przecież aż tak uwalony. Czyli jak nie o to chodzi, to o co? Pieniądze chce po prostu wyłudzić, tylko że źle trafił. Bo ja nie mam zamiaru dać ani grosza, choćby dlatego, że nie mam. Jakbym miał, to też bym nie dał. Czego on chce, przecież nawet mnie nie straszył żoną, że opowie o tym czy o tamtym. Zresztą niby o czym. Aha, no no no. I pang, zielone światełko się zapaliło w końcu. Ano właśnie, chciało się uroczą koleżankę do domu zaprosić i ludzie widzieli, jak się ją naga-buje, a potem pstryk, troszkę się filmik urwał, no i nie wiadomo, co się później robiło. No powiedzcie mi, obywatelu, jak spędziliście ostatnich kilka nocy. O, nie pamiętamy, niedobrze, niedobrze. Mówicie, że żyjemy w wolnym kraju i każdy się może napić, ile chce. No pewnie, oczywiście, tak tak. To dlaczego się nie pamięta, co się robiło w nocy z dwudziestego piątego na dwudziestego szóstego o godzinie trzeciej trzydzieści? A my wiemy, my wszystko wiemy, ale nie bójcie się. Władza też człowiek i jakoś się dogadamy. No pięknie, kurwa, pięknie. Przecież naprawdę nie pamiętam za dużo z ostatnich trzech nocy. Ale, panie władzo, ja niko-go w życiu nie zabiłem, nie zgwałciłem, nie okradłem. A ten facet, co sprzedawał sadzonki? No, upadł

mu banknot, pięćset złotych z Kościuszką, to podniosłem. Poza tym byłem wtedy dzieckiem. Jakies trzynaście lat miałem. Ano właśnie, czym skorupka za młodu... No i proszę, niby nic, a jednak. A tak z innej mańki na przykład: ta nieletnia, co się do niej dobieraliście. Ładniutka, nie powiem, ale wydaje mi się, że to raczej niedobrze, nie po naszemu. Uczciwy człowiek tak nie robi. Powiecie, że niby się nie opierała, a poza tym nie byliście żonaci. Ja rozumiem, ja wszystko rozumiem. Żyj i daj żyć innym. Ale co takie dziewczę może wiedzieć o świecie? I czy umie rozpoznać, kto wróg, kto przyjaciel? A ten, kto się tak zachowuje, jest wrogiem, gadem i szkodnikiem. Tylko że niewinne dziewczę tego nie wie. Prawi się słodkie słówka, skradnie całusa, a potem hajda na cześć dziewiczą. Nie tak było? A teraz na przykład: żona na wyjeździe służbowym, a tu się nie pamięta kilku ostatnich nocy. Pewnie, lepiej nie pamiętać, co się wyczyniało. Wino, kobiety, śpiew, te rzeczy. No i właśnie, pang, pang. Bingo skumulowane. Robiłem czy nie robiłem, i co, i kiedy. Nie jestem pewien. Tamten może za to wiedzieć. No dobra – kawa, bułeczka, kąpiel i fiu za rzeczkę szukać skurwysyna. Na osiedlu psy zasrały cały trawnik. Idzie sobie człowiek i ciągle się boi, żeby nie wejść w gówna. Fajnie tak pieskowi w takim bloku. Na balkon se może wyjść. Użyje jak w studni. Potem nasra na trawnik i pójdzie na spacer

z jakimś zadowolonym pacanem. Najlepiej to mają te duże: owczarki, rottweilery, dogi. W takim mieszkaniu to wszędzie musi być sierść. Powinni, gamonie, hodować yorki. Takie co się mieszczą w pudełku po butach. Zresztą, srał to pies. Trzeba do miasta. Najpierw autobus, potem tramwaj. Na przystanku dwie babki, z tyłu całkiem znośne. Ale co się będę przyglądał. Siadam na ławeczce. Wyjmuję gazetę. No nie, tego jeszcze brakowało. Patrzy się jak sroka w gnat. Oczadziała. Niby że taki śliczny jestem. Akurat. Jeszcze bym musiał z dziesięć kilo zrzucić, pochodzić na siłownię, kupić jakieś ciuchy, no to wtedy bym może uwierzył. Jaja sobie ze mnie robi. Ale ogólnie niezgorsza. Zgrabna, elegancka, z twarzy całkiem ładna. Tylko trochę stara. Nie mogę się na nią patrzeć, bo jeszcze coś sobie pomysli. Autobus podjechał, wsiadłem, ona też. Tego jeszcze nie było, żeby mnie baba w autobusie wyrywała. Co innego w drugą stronę. Parę razy mi się udało. Z jedną to nawet bardzo. Szlag by trafił, nie noszę obrączki, może by się wtedy nie czepiła. Ano właśnie, bez obrączki niby łatwiej o branie. Nie, panie władzo, ale jakoś nie lubię. Już my swoje wiemy. Dalej się gapi. W knajpie tobym pogadał, ale w środkach komunikacji nie zawieram znajomości. Chyba że mam ochotę. A teraz nie mam, bo mam problem. Trrr. Trrr. Trrr. Chyba moja. Niechby tak żona zadzwoniła, może by dała spokój.

Przywitałbym się: cześć, kochanie, jak się czujesz, jak pogoda i te sprawy, to może dałaby spokój. Tak, słucham. I już się zabieram do tej gadki, a ten znowu swoje. No i co, dziwkarzu, tą też byś zaliczył, co nie? A skąd wiesz, gdzie jestem – krzyczę. I ciśnię się na usta „skurwysynu”, ale się powstrzymuję. Nie obchodzi mnie, gdzie jesteś, tylko jaki jesteś, znaczy, kurwiarz – tamten na to. Ty ciągle to samo, dawno cie przejrzałem. No, to nara, czekam jeszcze trzy godziny. Nawet mnie jakoś ten telefon nie zdziwił, ale resztę autobusowego towarzystwa to i owszem. Tamta jakoś trochę spłoszona, ale nie traci rezonu. Coś czuję, że się zbiera, żeby podejść. Tego jeszcze brakowało. Wstaję i idę do wyjścia. A ta za mną. Obracam się i już chcę ryknąć: o co pani chodzi, ale ona pierwsza się odzywa. Nie pamiętasz mnie, misiaczku. Jak Boga kocham, zbaraniałem. Zwoje mi się zaczęły grzać. I uśmiechnąłem się głu-pio. Wiesz, mam straszne problemy, to wszystko przez to. Aż nieprzytomny jestem, a jeszcze przemęczony. Strasznie cię przepraszam. I zwoje pracują jak oszalałe, kto to, do cholery, jest, skąd ja ją znam, ale nawet małego światełeczka w tunelu, a o zielonym to nawet nie wspomnę. Może się jutro spotkamy, albo nawet dzisiaj – ona na to. Chętnie. Tylko gdzie – bąkam z miną skrzywdzonej niewinności. Tam gdzie ostatnio. No to wpadłem, bo nic nie pamiętam. Dobrze, o której. Dwudziesta może

być? W porządku. Słuchaj, strasznie się spieszę, mam poważny problem za rzeką. Lecę na tramwaj. To już leć, chłopczyku, pysiu malutki – daje mi buziaka i kładzie rękę pod swoją marynarkę. Nie. No nie. To do wieczora – rzucam niby to porozumiewawczo, a ona się rozpromienia. Nie masz teraz chwili dla swojej myszeczki – wdzięczy się. Do mnie stąd jest całkiem niedaleko. Jaka znowu myszeczka, trzeba uciekać. Nadrobimy to wieczorem – powoli wychodzę obronną ręką z opresji, bo widzi chyba, że się naprawdę spieszę. Tylko pamiętaj o tych wiesz, gumowych, bo poprzednio był problem. Będę pamiętał – krzyczę i już mnie nie ma. Ja pierdołę, znaczy się, chce, żebym wziął kondomy. Czyli że już coś było, jakaś akcja. Tylko dlaczego ja nic o tym nie wiem. Fak, fak, fak. To znaczy, że tamten miał rację. Narobiłem jakiegoś gnoju. Uff, ale pieprzony upał, kto to widział, żeby w kwietniu było trzydzieści w cieniu. Tramwaj zaraz pęknie z duchoty, ciuchy się lepią, wszyscy śmierdzą. Najgorszy jest smród nieumytej starej baby, wali od niej takim mięchem prosto od rzeźnika. To jest osobny gatunek. Nie używają dezodorantów, nie golą nóg i pach i zajeżdżają na pół kilometra. Stoją takie w sklepach, w tramwajach, w knajpach niektóre kelnerki też, i pewnie jeszcze uważają, że są atrakcyjne i naturalne, nie to co jakieś wypindrzone lale. Znałem nawet taką, co się szczyciła, że pali

extramocne, bo te zagraniczne to jakieś perfumowane. I śmierdziało od niej tą machorą na kilometr. Zresztą Bóg z nimi. Skąd ja znam tą pieprzoną myszeczkę? W życiu takiej starej baby nie tknąłem. Tylko że może jak ją tknąłem, to myślałem, że jest młodsza. Może z tej knajpy, gdzie przychodzą jakieś bizneslomen, maklerki, sserki, żeby udawać, jakie są wyluzowane. Ale naprawdę sobie nie przypominam, zresztą przecież ona się mogła pomylić. Poza tym, skoro mówi, że tam gdzie ostatnio, to powinienem pamiętać, bo to by znaczyło, że się umówiłem, a ja się z nikim nie umawiałem. Z nikim. Nie mam kiedy. Tyle roboty, że nie mogę nadażyć. Aaaha, znowu dzyń dzyń. I to nie jest dzwonek tramwaju, myszko. A z tą miłą panią z banku to się niby nie chcieliście umówić? Twierdzicie, że niby ja nie wiem, co mówię? Że mnie się wydaje? Dobrze, panie władzo, to niby racja, ale to tylko taki niewinny flirt. Przecież ona mi się nawet nie podobała. Podobała, nie podobała, ale z łóźeczka toby się nie wygoniło. Ale przecież nie było żadnego łóźeczka i w ogóle nie ma o czym mówić. No nie wiem, nie wiem, zastanówcie się lepiej nad sobą. W końcu pieprzony pomnik śpiących żołnierzy. No dobra, to gdzie go teraz szukać. Chyba nie na Różycu, bo tam już teraz nikt nie chodzi. To gdzie? Może na tym drugim. Na stadionie. Tylko że trochę późno. Oni tam zaczynają o piątej, a kończą

najdalej w południe, czyli niby jeszcze trochę. Ale tam to jest ze dwadzieścia hektarów do obejścia. Może zadzwoni i coś dalej powie. On mnie specjalnie tym akcentem podpuszczał, żebym tu przyjechał. No, na pewno nie będę chodził po bermudzkiej trójkącie. Tam można w biały dzień zarobić kosę, a w wersji optymistycznej dostać w ryj i stracić portfel. Sam widziałem w telewizji, jak gnoje, tacy po piętnaście lat, obrobili na Brzeskiej Rosjanki, które szły z towarem w tych swoich kraciastych torbach, i ktoś to przypadkiem sfilmował. Nie złapali ich, oczywiście, bo kto by się jakimiś Ruskimi przejmował. Nawet ci z najbardziej zasyfionych dzielnic czują się od tego tałatajstwa ze Wschodu lepsi, odbijają sobie lata upokorzeń na saksach w Szwecji czy enerdówku. A nic tak w końcu nie podnosi własnej wartości jak upokorzenie kogoś innego. Ale swoją drogą, to NRD to było miejsce. Cudowny kraj erzacu. Piwa prawie tak dobrego jak w RFN-ie, prawie tak dobrych kielbasek, handlowych domów spółdzielczych, brzoskwiniowych dezodorantów i czekolady po pół marki smakującej jak wyrób czekoladopodobny. U nas zresztą nawet takiej nie było, więc nie ma się w sumie co naśmiewać. Tuż i wspaniały dworzec autobusowy, gdzie unosi się skisły smród podmiejskich pekaesów. Jechałem takim ze dwa razy. Niezapomniane przeżycie. Jest taki dowcip. Jak najłatwiej zrobić sałatkę

z buraków? No? Trzeba wrzucić granat do pekaesu. Szczerze mówiąc, wcale nie jest zabawny ten kawał. Wiedziałem, że tak będzie. Wszyscy już ściągają z największego bazaru tej części Europy, dawniej stadionu, miejsca festynów i dożynek z udziałem czynników. Ci ze Wschodu wiozą swoje torby na wózkach albo targają na plecach. Tutejsi mają żuki i nyski, a co poniektórzy bmw, volkswageny i chryslery. Znałem kiedyś taką pannę, której tatuś się tutaj dorobił. W ciągu dwóch lat od szczęki doszedł do takiej kasy, że kupił jej dom, sobie dom, ze trzy samochody, biuro w centrum i teraz handluje jakimiś tajlandzkimi ciuchami. No właśnie, Tajlandia. Tam to dopiero jest bonanza. Dziesięcioletnie dzieciaki stoją na ulicach, taka jest bieda i prostytutka. A jakieś świńskie pedofilskie Szwaby i Angole jeżdżą pociupciać za trzy baksy. Ja pierdolę, co za dewiacja. Powinno się ich kastrować. Jeden kolega też tam był w sekspodróży. Tylko że on jest normalny. To znaczy nie do końca, bo w ogóle w życiu nie widziałem go z dziewczyną. Ale to się przecież zdarza. Strasznie zachwalał te żółte. Taniocha i egzotyka. Tam są takie miejsca, że człowiek nie może przejść spokojnie, i to nie dlatego, że to jakaś specjalna dzielnica. Idziesz sobie plażą, a tam jakiś gówniarz za tobą krzyczy: Hej, mister, fiki, fiki, albo cię zaczepia na ulicy i wrzuca: You and me together sex. Koleś miał już tego tak

dosyć, że poleciał do innego kraju. A u nas za egzotykę robią Rosjanki, Ukrainki, no i Bułgarki. Widziałem kiedyś na trasie, jak trzech koleśi zgarneło taką z drogi. One wszystkie mają przyczepione czarne treski. Wyglądają ohydnie, chociaż niektóre nie są brzydkie. Głównie czekają na wielkich parkingach na tirowców, ale często stoją w lesie w krótkich spódnicach, bez majtek i się wypinają. Jest taki obiegowy dowcip, niby to prawdziwy, że niektóre mają cenniki napisane na kartonach: w paszczu – 50, w cipu – 100. Ale to jakaś bzdura. Ciekawe, skąd się wzięło przekonanie, że to Bułgarki. Jestem pewien, że tam stoją i Rumunki, i Rosjanki, i Białorusinki, i Ukrainki, i Polki, i jeszcze jakieś inne. A znowu Rosjanki uchodzą za podstawową siłę roboczą w agencjach towarzyskich. Chociaż to pewnie taka sama prawda jak z tymi Bułgarkami. Tylko że podobno na Wschodzie jest straszna prostytutka, więc z drugiej strony to jest możliwe. Sowiecja ich kompletnie zdeprawowała. Pieprzenie Ruskiej z agencji dla typowego Polaczka to jakby odwet za carycę Katarzynę i tego nieszczęsnego Stanisława Augusta. Wyście nas ciemnęzyli, to teraz zrób mi laskę. Poza tym, krążą plotki, że one wszystko zrobią dla kasy. Mnie tam się Rosjanki podobają. Zresztą, chuj z tym. Myśl o swoich kłopotach. Po cholere tu właściwie przyjechałem? Przecież to nie ma sensu. Facet nie dał żadnej wskazówki. Jakby

mnie teraz ktoś spytał, dlaczego jestem akurat na tym bazarze, tobym nie umiał odpowiedzieć. Cześć, malczyszka, ktoś krzyczy wyraźnie do mnie. No, wykrakałem sobie te Rosjanki. Od południa szukają klientów. Cześć, malczyszka – powtarza głos. Zaraz, zaraz. Przecież ja ją znam, kupuję u niej często pi-rackie kompakty po dychu. A, cześć, odpowiadam i właściwie to się cieszę, że ją spotkałem. Jakaś znajoma i sympatyczna gęba. Bo o bazarze to trudno powiedzieć, że to sympatyczne miejsce. Co, już po robocie – pytam. Da, da – odpowiada. Irinka, chyba ma na imię Irinka. Ci Ormianie, co rozprowadzają płyty, tak do niej mówili. No i jak dziś poszło, Irinka. Macha ręką, może być'. Policja nie łaziła? Niiieet, no, niemnożka ljudi pakupało. A ty nie chcesz szto nibud'? Nie, dzisiaj nie za bardzo. Szukam kogoś. No, jak nie najdziesz, my idiom niedołga na jamku. Chcesz wodka? Ja pakupała stolicznu ot naszych. Nie chcę, piwa to bym się napił, ale wódki o tej porze, w taką pogodę, to nie. Idi sa mnoj, my z druziami idiom pogaworit', poguliat'. No tak, myślę sobie, dla nich to już właściwie wieczór, skoro wstali o drugiej czy trzeciej w nocy. Ale po co ja im jestem potrzebny do towarzystwa? Nie, dzięki, Irinka, może następnym razem. Ja ujezzaju w Rasi-ju – mówi smętnie – może ty by pamog mienia wier-nut'. To takie buty, chce, żebym jej jakieś papiery pomógł załatwić. Dobrze trafiła, bo ja nie umiem

odmawiać, nie potrafię komuś w oczy powiedzieć: nie. To jest największy mój problem. Pomogę ci, ale nie dzisiaj. I widzę uśmiech od ucha do ucha na źle umalowanej twarzy. Przecież to ładna dziewczyna, a jak się wysztafiruje – niebieskie oczy, czerwone usta, czerwone policzki – to patrzeć na nią nie można. One zresztą w większości nie potrafią się ubrać i umalować. Przynajmniej te, które tu spotykam, wyglądają jak wsiowe lampucery. Muszę lecieć – odpalam, ale już wiem, że tak szybko się nie uda. Zawtra, może siewodnia wieczierom? Raczej jutro. Ja budu źdat'. A patom pajdiom do mienia, ty krasiwij malczik, umnyj, pomagi mienia. Szto, niecharaszo? Zauważyła moją minę. Przecież to jest szaleństwo. Człowiek chce z dobrego serca pomóc, a ona wyraźnie proponuje seks i wódkę w jakiejś melinie. Magu idti w twoju kwartiru – domyśla się, w czym rzecz. – Dam tiobie jeszcze kompakty. Czy to się nigdy nie skończy? Nie nrawius' tiobie? No, skąd, Irinka, fajna z ciobie dziewczyna, ale teraz nie mam głowy. Przyjdę jutro, dobrze? Spogląda raczej podejrzliwie, ale kiwa głową. Kiwam jej i uciekam. Po cholere tu właściwie przyjechałem? Przecież i tak nie wiem, kogo szukać. Znowu telefon. Dobrze, że nie mam jakiejś kretyńskiej melodyjki jak niektórzy, tylko normalny sygnał. No i co, dojechałeś? Gdzie miałem niby dojechać. Jestem na bazarze. Bardzo dobrze, bardzo dobrze.

Jakieś osiągnięcia na froncie kurewstwa? Może Ruska za pół lytra? Śledzi mnie, skurwysyn, albo jest jasnowidzem. Czego chcesz, człowieku – wrzeszczę jak oszalały. Powiedz, czego chcesz. Wszystko w swoim czasie. Jeszcze zadzwonie, bo widze, że sie chyba dogadamy. Nie zapomniałeś przypadkiem iść do pracy, malczyszka. Znajdź budkę numer trzysta sześćdziesiąt. Śmieje się, menda, i przerywa połączenie. Właściwie mogę sprawdzić jego numer w komórce. Oczywiście zastrzeżony albo z jakiejś starej centrali. Anonim pieprzony. To super, na dodatek jeszcze mnie wywałą z roboty. Dzwonię, dzień dobry, przepraszam, ale musiałem pilnie załatwić sprawę w urzędzie skarbowym – zaczynam bredzić. A tu sekretarka szefa na luzie mówi, że spokój i skoro tam już jestem, to mógłbym iść do działu rozliczeń spółek po papiery, bo koniec miesiąca. Jasne, to niedługo będę. Jeszcze będę musiał na taksówkę do tego wydać. Bo urząd na drugim końcu miasta. Postój blisko, całe szczęście. Idę do tych w pomarańczowych kamizelkach, miejscowych, i pytam, jak znaleźć tą szczękę. Oni na to, że w zarządzie targowiska jest plan. Pokazali, ale patrzyli jak na debila. Dobra, podchodzę, a tam stoi facet z kasetami wideo. Pirackimi głównie, chociaż oczywiście na wierzchu ma oryginały. Uśmiecha się oblesnie, puszcza oko i pyta, czy szukam czegoś specjalnego. Nic nie mówię, to on wyjmuje

kasetę z psem na okładce i mówi, że to przygody Szarika w burdelu, albo to, i pokazuje opakowanie z tytułem: *Zanim wróci żona*. W końcu nie wyrabiam, kupuję ten film i idę po taksówkę. Co za pierdolona menda, dlaczego on mnie tam posłał. Wsiadam do poloneza i trzeba mieć, kurde, mojego pecha, żeby zaraz na moście trafić w korek. Już bym się wolał z mostu do rzeki rzucić niż tu stać w upale. Dalej trochę lepiej, ale jak tak pójdzie, to trafię akurat na koniec godzin pracy. W urzędzie do informacji kolejka, pytam, gdzie można dostać te dokumenty dla firmy. Trzecie piętro, pokój trzy-sta osiem. Idę na trzecie, a tam salę komputerową zrobili i urzędniczki się szkolą. Nawet nie pytam o nic, bo patrzą, jakby chciały zabić. Staję w kolejce do kancelarii, tam mi mówią, że to piętro wyżej, pokój czterysta dwadzieścia, bo tu jest inny urząd. No to idę, w końcu mi się udało. Pukam. Jakaś babka, nawet sympatyczna, mówi, że sprawdzi. Patrzy w fiszki i z rozbijającym uśmiechem stwierdza, że nie dostanę tych dokumentów, że powinienem iść do kierowniczkii, bo tylko ona może je wydać. Cały się już spociłem po tych kolejkach i piętrach. Znowu pukam, nikogo nie ma. Chce mi się palić. Wyciągam paczkę i zapalniczkę, no i co. Oczywiście stoję pod zakazem. Przekreślony kiep. Aż mi się w środku gotuje. Ja to nic, bo nagle do mnie dociera, że taki na oko siedemdziesięcioletni

facet, siedzący obok, od paru minut wyzywa urzędniczki od kurew. Co za miejsce. Przychodzi kierowniczką, ale z jakąś namolną interesantką. To czekam. W końcu tamta wychodzi. Władzę zaaferowany z tymi fajkami w ręku, a ona rozmawia przez telefon. Patrzy na mnie i mówi: To niech pan chwilę poczeka. Bierze drugi telefon. Wciska guzik i wrzeszczy: Jadźka, chodź szybko, bo pan przyniósł papierosy. Nerwowo protestuję, że nie mam nic na sprzedaż, że to moje prywatne. A ona pewnie myślała, że to ruskie, bez akcyzy. Wyraźnie niezadowolona przyciska guzik i wrzeszczy: Już nie przychodź, pan ma prywatne. Nic mi nie daje, tylko dzwoni gdzieś i każe iść do pokoju czterysta dwadzieścia trzy, taka niby kanciapa, do pani Zuzy. Tam dostanę. Pukam, wchodzę, a to rzeczywiście kanciapa, bez okna, jedna żarówka, ciemno jak cholera. Zza przepierzenia słyszę: to ty, Romeczku, ale nie odpowiadam. Nie wygłupiaj się, tylko zamknij drzwi. Ja po dokumenty, mówię. A ona zamyka, bo mamy mało czasu. Podchodzę w końcu, a baba się rozbiera, jak Boga kocham. Zdjęła buty, pończochy, spódnicę i właśnie rozpina bluzkę, odwrócona plecami. Jak teraz ktoś wejdzie, to będzie afera. Lecę zamknąć drzwi. Wracam. Proszę pani, przyszedłem po dokumenty – podchodzę bliżej, a ona całkiem goła za tym przepierzeniem. Chodź, misiu, mówi i wcale się nie speszyła, że to nie żaden

Romek. Szybko, szybko, bo nie wytrzymam. Już nie mam siły. Słuchaj, babo – mówię. Mam poważne problemy i nie mam zamiaru się z tobą gzić. Powiedz, gdzie są dokumenty, bo jak nie, to otworzę drzwi i wypuszczę interesantów. Ona nic, czeka. Dobra, sama chciałaś. Już zawracam do drzwi, a ona omdlałym szeptem mówi, żebyśmy wziął z biurka. Podchodzę, a ona mnie łapie za ręce i szepcze – no chodź, mój śliczny. Tego już za wiele, wyrwam się i biorę papiery. Czy ten dzień się nigdy nie skończy? Dzięki Bogu, już trzecia. Wpadam do biura, zostawiam papiery. Sekretarka mruga, że wszystko w porządku. Siadam na moment, choć już właściwie mam koniec roboty. Trrrrrr. Trrrrr. Komóra. Zjedz spokojnie obiad. O piątej masz być w Baryle. Po co? Przekonasz się, cwaniaczku – odpowiada i odkłada słuchawkę. Posiedziałem chwilę, żeby trochę poudawać, że pracuję, i cyk, na obiad do bufetu. Ledwo zdążyłem na piątą do Baryły. Siadłem na zewnątrz, pod parasolem. Telefon. Cześć, misiaku. Cześć – odpowiadam, ale już czuję jakąś ściemę. Czekasz już na mnie w Baryle. Wiedziałem, że to nie jest głos mojej żony. Czekam – odpowiadam. Będę za piętnaście minut. Wypij sobie piwko, pa. Pieprzony psychol. Z kim on mnie tu umówił? I po co? Chyba trzeba czekać. Zamawiam piwo. No nie, to jest niemożliwe. Umówiłem się z tą panną z klubu, a może to on mnie umówił.

Siada, buziaczek. Zamawiam następne. Coś opowiada, jak to wczoraj było fajnie. Ja tylko odpowiadam półsłówkami. Biorę setkę whisky, żeby się trochę rozluźnić. Złapałem już kontakt z wczorajszym dniem. To co, pojedziemy do Paryża? – pyta. Wczoraj mówiłeś, że możemy wyskoczyć na weekend. Tylko nie wiem kiedy – już odzyskałem kontrolę nad sobą. I zaraz chyba uda mi się ją splawić. Może za dwa tygodnie? Tak, to chyba dobry pomysł. I kombinuję, że przecież mogę zmienić numer komórki. Tamtego też się wtedy pozbędę. Zamawiam zadowolony jeszcze jedną whisky i jeszcze jedno piwo – a co tam. I nie mogę uwierzyć własnym oczom. Obok siada ta czterdziestka z autobusu i porozumiewawczo pokazuje na zegarek. Kiwam leciutko głową, a ona pokazuje serdeczny palec, że niby to siedzę z żoną. Znowu kiwam. Uff, dała spokój, a zresztą ktoś się do niej przysiada, koleżanka jakaś rozszczebiotana. Cześć, Zuza, co tam słyhać. No nie, to jest ponad ludzkie siły, to ta nimfomanka z urzędu skarbowego. Obraca się i puszcza do mnie oko. Wypijam szybko jeszcze dwie whisky. Panna coś bełkocze o wyjeździe, Paryżu, Zakopanem, pracy w agencji reklamowej. Tylko Irinki tu brakuje – mamroczę pod nosem – i mojej żony. Bang, bang, złamasie, nawet nie myśl o takich rzeczach, bo właśnie nie kto inny, tylko Irinka w wieczorowej sukni przechadza się po rynku z jakimś dwumetro-

wym dragalem ze złotym łańcuchem na futrze i w lustrzankach i kiwa porozumiewawczo.

Trrrr, trrr, trrr. Słyszę przez sen. Coś jakby dzwonek telefonu. Ale nie. Rozładowany. Chociaż może dzwonił, aż się rozładował. To sprawdzam sekretarkę. Jakbym skądś już znał ten głos, który recytuje: nie mam dla ciebie żadnych wiadomości, jesteś w głównym menu. Na całe szczęście dzisiaj jest jakiś spokojniejszy, nie wrzeszczy. Dobrze, panie władzo, dobrze – odpowiadam.

A może to jednak była pomyłka.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).